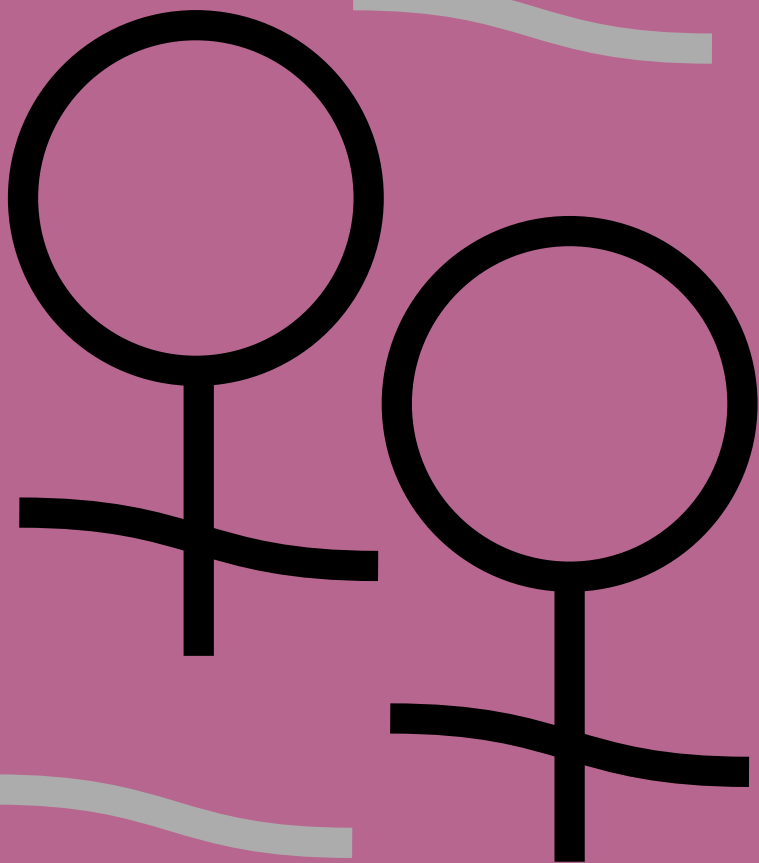


Natalka Śniadanko

Frau Müller nie zamierza
płacić więcej



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza

**Фрау
Мюллер не
налаштована
платити
більше**

Natałka Śniadanko

*Frau Müller
nie zamierza płacić więcej*

Przełożył Bohdan Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2022

Uchodźcy z Afryki, który przyłynął do Europy w kontenerze, nie pozwolono pozostać, bo jego relację z podróży uznano za „zbyt monotonną i pozbawioną opisów dookólnych krajobrazów”.

Z polskiej prasy

„Dziś rano na Salzstrasse, obok budynku numer pięć, znaleziono ciało kobiety, która wyskoczyła z okna na drugim piętrze, wcześniej otruwszy właścicielkę mieszkania – 92-letnią Hannę Kopyryć – przeczytała na pierwszej stronie gazety leżącej na kuchennym stole Chrystyna. – Wedle śledczych ciało najprawdopodobniej należało do nielegalnej emigrantki z Ukrainy, 32-letniej Sołomiji Kraweć, która była opiekunką ofiary”.

Sołomija Kraweć mieszkała z Chrystyną w jednym pokoju.

Jeszcze wczoraj rano rozmawiały przy śniadaniu.

– Jak myślisz, co lepiej posłać małemu – samochodzik na pilota czy konstruktora? – spytała Sołomija.

Chrystyna próbowała wyobrazić sobie jej szczupłe ciało z odrobinę krzywymi nogami i pieprzykiem pod prawym kolanem, rozpląszone na bruku Salzstrasse. Ale zamiast tego przypominała sobie tylko jaskrawe pudełko przecenionych klocków Lego, które przypadkiem zobaczyła w supermarkecie, i nawet usiłowała dodzwonić się do Sołomiji, żeby spytać, czy ma kupić tę zabawkę. Ale się nie dodzwoniła.

Chrystyna jeszcze raz przeczytała artykuł, jakby oczekiwała, że można zużyć litery, jeśli się je czyta dostatecznie często i one powoli rozmokną, rozpląną się między włóknami papieru, przeformatują się w wielkie czarne kwiaty na szarym tle, a wtedy wszystko znowu będzie tak jak wcześniej – bez otrutej babci i nierówno obrysowanych białą kredą konturów cudzego ciała na bruku.

Niemal machinalnie Chrystyna wróciła do pracy, rezygnując ze zwyczajowego odpoczynku przy kawie i gazecie, na który pozwalała sobie zawsze, usuwając resztki śniadania po mieszkańcach tego sprzątanego co poniedziałek

mieszkania. Jego gospodarze Bettina i Rudolf byli kiedyś bezrobotni, a teraz są właścicielami modnego sklepu z naturalnymi kosmetykami. Twarz Bettiny była urodziwa, mimo oczywistej nieregularności rysów. Na tę twarz chciało się patrzeć – na to, jak jej za długi nos, za duże usta, nazbyt wypukłe oczy nagle składają się w pociągającą całość i świecą tą wewnętrzną pewnością siebie, bez której każda uroda pozostawia wrażenie niedokończonej, wyblakłej, niejasnej. Szczególnie pięknie Bettinie wychodził uśmiech, wokół którego, niby wokół niewidzialnego magnesu, naciągały się i nabierały sprężystości mięśnie twarzy, układały się symetrycznie i prawidłowo; tak właśnie czasami prostują plecy kasjerki w supermarkecie, czując na sobie uważne i zaciekawione męskie spojrzenie. A mężczyźni w takiej chwili też mimowolnie wciągają brzuch i podnoszą rękę do włosów, żeby teatralnym gestem nakreślić w powietrzu płynną linię, wzdłuż której na czoło spadają czupryny przystojnych poetów i aktorów. I ten gest pozostaje niezmienny nawet u tych, których czupryny nigdy nie wyglądały tak jak u przystojnych poetów czy aktorów, i nawet u tych, którzy po prostu od dawna nie mają czupryn.

Rudolf był niewysokim blondynem z ponuro opuszczonymi ramionami i wyblakłymi brwiami. Na jego policzkach prawie zawsze nierównymi plamami rozlewał się rumieniec – niby barszcz po obrusie. Kiedy Rudolf coś mówił, to usiłował uciec spojrzeniem w bok. Miał żółte zęby i niemal bezbarwne szaroniebieskie oczy. Gryzł paznokcie i wargi, ale w obecności dzieci usiłował się od tego powstrzymać.

Bettina i Rudolf ukończyli wydział filozoficzny na niewielkim prowincjonalnym uniwersytecie i przez kilka lat usiłowali znaleźć pracę w zawodzie. W tym czasie urodziło się im troje dzieci i z uniwersyteckiego miasteczka przeprowadzili się do rodzinnego miasta Berlina. Matka Bettiny rozwiodła się i wyjechała za granicę, gdy tylko dzieci osiągnęły

pełnoletniość. Chrystyna nawet kiedyś ją poznała – ta bardzo spokojna i jednocześnie żywiołowa kobieta z dość wydatnym biustem i prężnymi pośladkami nauczyła się pięciu języków obcych, kiedy siedziała w domu z trójką swoich dzieci. Należała do tego typu kobiet, które nigdy nie zapominają, ile łyżeczek cukru sypiesz do kawy, i spotykając cię drugi raz w życiu, robią ci kawę, o nic nie pytając, jakby przeżyły wraz z tobą wiele lat. Ale czemuś ta ich na pół automatyczna gorliwość, za którą nawet nie oczekują wdzięczności, budzi częściej irytację niż zachwyt.

– Wiesz, być gospodynią domową nie jest wcale źle – powiedziała. – Rano pobierasz dzieci, wyprawisz je do szkoły i masz kupę czasu dla siebie. Ja lubię czytać książki i uczyć się obcych języków – uśmiechnęła się takim jak to u Bettiny ciepłym uśmiechem, od którego światło, przesączaające się przez szyby, zaczęło wydawać się jaśniejsze, a Chrystyna mimo woli się wyprostowała.

Ojcu Bettiny, zdaje się, też bardziej podobało się siedzenie w domu i czytanie książek niż praca na stanowisku dyrektora firmy budowlanej, dlatego po rozwodzie kupił sobie dom i przed czasem przeszedł na emeryturę. A teraz stale siedział w domu. Przynajmniej Chrystyna odnosiła takie wrażenie, bo przez dwa lata, w ciągu których o różnych porach i w różne dni przychodziła tam sprzątać, ani razu nie zdarzyło się, żeby gdzieś poszedł czy choćby się gdzieś wybierał. To był maleńki chudy dziadzio z haczykowatym nosem. Zdawało się, że rozmawiając, baczny wzrokiem szuka norki, gdzie mógłby uciec i pomilczeć, gdyby współrozmówcy nagle przyszło na myśl o coś go zapytać.

Matka Bettiny teraz mieszkała we własnej willi nad morzem i handlowała nieruchomościami.

Bettina z mężem przyjechała do ojca na czas trudności finansowych, ale potem zostali na stałe.

Bettina i Rudolf wyglądali na szczęśliwą parę. Spędzali wspólnie niemal cały czas, kiedy pracowali razem w swoim sklepie, a także wieczory. Telewizora nie mieli, za to mieli wiele gier planszowych, płyt z muzyką, fortepian. Wieczorami rozmawiali, pili herbatę i czytali na głos książki. Rudolf lubił grać na fortepianie, Bettina szydełkowała. Czasami, kiedy w domu nie było nikogo, Chrystyna też pozwałała sobie na kilka minut sięgnąć przy instrumencie.

Jeśli Rudolf i Bettina byli w domu, zapraszali Chrystynę, by wypić z nimi kawę, pytali, co u niej, proponowali, by wzięła sobie już przeczytaną przez nich poranną gazetę, pytali, czy podobały się jej książki, które pożyczyła poprzedniego dnia, rekomendowali nowe. Nigdy nie patrzyli na zegarek i płacili zawsze za umówione cztery godziny, nie sprawdzali też, jak dokładnie wytarte są kurze bądź umyte okna. Zawsze wszystko ich zadowalało i nawet czuli się niezręcznie, kiedy Chrystyna sprzątała, a oni dalej siedzieli przy śniadaniu. Najpierw ją to dziwiło, ale potem zrozumiała, że Rudolf i Bettina należą do tego typu ludzi, którym sprzątaczką w domu wcale nie jest potrzebna do utrzymania idealnego porządku. Po wielu latach, kiedy sami musieli się obywać dorywczymi zarobkami, ważne było dla nich poczucie, że i oni wreszcie mogą sobie pozwolić na zatrudnienie kogoś. Rudolf w czasie bezrobocia dorabiał jako taksówkarz, w dodatku nielegalnie, żeby nie stracić zasiłku, a Bettina wieczorami tak samo nielegalnie kelnerowała w pakistańskiej knajpie, znajdującej się za rogiem ich domu. Teraz ich postproletariacka solidarność w jakiś kapryśny sposób łączyła się z dumą biznesmenów-neofitów, a pragnienie pozwolenia sobie na wszystko, co wcześniej znajdowało się poza nieosiągalną granicą luksusu – z próbami zachowania lojalności wobec tych, którzy dalej się poza tą granicą znajdują. Gdyby sprzątaczką u nich nie była Chrystyna, mająca wyższe wykształcenie muzyczne

i duże doświadczenie pedagogiczne, ale jakaś gruba ciotka z zapadłej wsi, być może byłoby im lżej. Bo wtedy mogliby się pocieszać, że lata stracone na naukę jednak nie poszły na marne, a społeczne rozwarstwienie sprawiedliwie przebiega wzdłuż linii demarkacyjnej kultury osobistej i ogólnego rozwoju. Ale Chrystyna nie pasowała do tego prostego i wygodnego schematu, dlatego w ich stosunku do niej do szczerzej życzliwości i demokratycznej wyrozumiałości domieszywało się ledwie zauważalne poczucie winy.

Chrystyna doceniała ich nastawienie, ale w pustym mieszkaniu pracowało się jej znacznie lepiej. Po przyjacielskiej rozmowie przy kawie i lekturze gazety wcześniej czy później przychodziła przecież ta chwila, kiedy gospodarze przenosili się na werandę i siadali grzać się na słońcu albo rozkładali jakąś grę i grali w nią razem z dziećmi, a ona szła do składziku, żeby chwycić za wiadro i szmaty. I wtedy zdawało się jej, że lepiej, żeby nie było żadnych przyjacielskich pogawędek przy kawie, lepiej, żeby od razu wszystko było uczciwsze, bardziej brutalne i bez zbędnych reweransów.

Chociaż obecnie rzecz jasna Chrystyna nie reagowała już na te wszystkie subtelności tak bardzo ostro jak na początku swojego pobytu tutaj. Być może dlatego, że mogła już sobie pozwolić na wybieranie klientów i nie musiała godzić się na pracę u każdego, kto się napatoczył. Dodatkowo nauczyła się już podczas pierwszej rozmowy odróżniać ludzi, u których da się pracować, od różnych świrów, którzy starali się na niej odegrać za własne problemy i niepowodzenia.

Jak, powiedzmy, jeden z jej pierwszych klientów, który poczekał, aż skończy sprzątanie, potem zawołał ją do toalety, rozpiął rozporek i nasikał na podłogę, po czym zaproponował jej wybór – albo posprząta i dostanie umówioną sumę, albo pójdzie do domu z niczym.

Czy małżeństwo bardzo zamożnych prawników, które samo zamieszkiwało dwupiętrowy dom i płaciło jej raz na

miesiąc przelewem bankowym. Ich nigdy nie było w domu, gdy Chrystyna sprzątała i kilka miesięcy przepracowała spokojnie. A potem któregoś dnia zamiast zapłaty przyszło pismo z opisem wszystkich usterek jej pracy, zauważonych w ciągu ostatniego miesiąca. Lista składała się z dwudziestu tego typu punktów: „Zgodnie z ustalonymi faktami kurz w czwartym rzędzie książek w szafie w pokoju gościnnym wycierano nie za każdym razem, ale tylko jeden raz, zaś ramki fotografii wycierano zawsze tylko raz w tygodniu”, „naczynia zostały włożone do zmywarki w niewłaściwym porządku – na górze powinny być wyłącznie filiżanki i szklanki, a tam znajdował się jeden talerzyk” czy „w toalecie dla gości zawsze należy zostawiać 4 zapasowe rolki papieru toaletowego, a pewnego razu były tylko 3” itd. Za te niedociągnięcia obciążono ją kwotą 105% płatności, została więc winna gospodarzom jeszcze 5%, które jej wielkodusznie darowali. List kończył się sformułowaniem: „Frau Müller nie zamierza płacić więcej, niż się należy”.

W kolekcji z przeszłości było jeszcze jedno małżeństwo, które czekało na jej przyjście, żeby zacząć się kochać w sypialni, oddzielonej od jadalni ich dwupokojowego mieszkania tylko rozsuwanymi drzwiami z matowego szkła. Trafiło się także kilku zboczeńców, którzy proponowali usługi seksualne, i agresywny typ, który groził jej kuchennym nożem. No i oczywiście nieskończona kolejka pań domu, którym nijak nie można było dogodzić i które chodziły za nią krok w krok i pokazywały każdy przepuszczony pyłek i niedomytą płamkę na szkle i lustrach. Byli też tacy, którzy chcieli „porozmawiać” i oni irytowali Chrystynę najbardziej tymi swoimi nieskończonymi: „A wie pani, ta parka z mieszkania naprzeciwko – oni to już się zrobili po prostu bezczelnie. Wczoraj o 17.15 zaparkowali swoje auto wprost przed drzwiami garażu sąsiadów. Godzinę siedziałam przy oknie, bo gdyby nagle sąsiedzi wrócili, trzeba przecież byłoby ich

powiadomić, czyj samochód nie pozwala im wjechać do garażu”.

Chrystyna nie lubiła poniedziałków. Poniedziałki mało kto lubi, a to tylko zwiększało jej irytację, bo zmuszało do uświadomienia sobie własnej przeciętności, a jednocześnie też niemożliwości, by się z nią pogodzić.

Ten poniedziałek zapowiadał się jako szczególnie długi. Oprócz mieszkania Bettiny i Rudolfa (cztery godziny) należało jeszcze posprzątać na górze, u ojca Bettiny (godzina), potem u ślepego muzykologa Rolfa Micsunescu (cztery godziny), dalej u Ewy, gdzie można było zostać albo pojechać do domu. Ale myśl o powrocie do domu Chrystyna na razie usiłowała odsunąć od siebie jak najdalej.

* * *

Schody do jej gabinetu były strome i długie. Drugie piętro starego austriackiego budynku. W jakimkolwiek bloku z wielkiej płyty jak ten, w którym mieszkała Chrystyna, to byłoby już co najmniej czwarte piętro. Z windy nie korzystała. Schody nigdy nie oszukiwały. Wystarczyło odpuścić sobie parę tygodni, a czasami nawet dni i po wejściu serce zaczynało bić jak szalone, brakowało powietrza, a kiedy wreszcie dotarła na górę, musiała jeszcze przez parę minut odsapnąć.

W maleńkim gabinecie stało pianino, a na nim słoik po ogórkach konserwowych, w słoiku sztuczne maki z trochę już wyblakłymi i zakurzonymi płatkami. W jednym kwiatku brakowało kilku płatków, a na słoiku – części nalepki, która stopniowo ścierała się i odpadała, pozostawiając na szkle tłusty matowy połysk, podobny do szronu na szybie. Każdego dnia po przyjściu do pracy Chrystyna siadała na stołeczku przy pianinie, odpoczywała i ze skupieniem

wpatrywała się w maki, jakby usiłując przerzucić do słoika nikotynowy posmak, który teraz pojawiał się jej na języku podczas fizycznego wysiłku, choć palenie rzuciła już kilka lat temu, przyspieszony puls, nieprzyjemny pot, ściekający wzdłuż kręgosłupa i niepokojące poczucie utraty kontroli nad swoim ciałem. Nie lubiła sztucznych kwiatów, a tych nie lubiła szczególnie, zdawało się jej, że po wejściu schodami jej twarz zrobi się podobna do tych nienaturalnie czerwonych zakurzonych maków, chowała więc słoik do kąta i o nim zapomniała, a sumienna sprzątaczką pani Genia tak samo niezmiennie każdego dnia wyciągała kwiaty i stawiała z powrotem. Czasami, zdaje się na Wielkanoc, sprzątaczką wymieniała kwiaty. Chrystynie było niezręcznie przez to, że wychodząc, zapomina postawić kwiaty z powrotem na pianinie, bo przecież pani Genia starała się bodaj tak ozdobić gabinet, a to, że Chrystyna nie lubiła sztucznych kwiatów, nie dawało jej prawa do obrażania sprzątaczkę.

Oprócz pianina w gabinecie stał wieszak na ubrania, dwa stołki i biurko. Na ścianie wisiał portret Mykoły Łysenki z założonymi na piersiach rękami. Portrety Łysenki wisiały też we wszystkich sąsiednich gabinetach, ale bardziej oficjalne, z bardziej poważnym torsem, cień na nich barwił pół głowy na biały kolor. I tylko u niej portret trochę się odróżniał, a założone na piersiach ręce dodawały Łysence czegoś prawie domowego, spokojnego, zdawało się, że zaraz uśmiechnie się do jakiegoś przestraszonego pierwszaka i pochwali jego wykonanie gamy G-dur. Gabinet był maleńki, mogło się w nim zmieścić naraz nie więcej niż troje ludzi, którzy musieli obracać się ostrożnie, żeby nie potrącać się wzajemnie łokciami. Ale Chrystynie to nie przeszkadzało, przeciwnie, tak łatwiej było jej wyprowadzać na korytarz zbyt kłopotliwe mamy i babcie, które chciały zostać na lekcjach swojego dziecka. Niektóre, co prawda, okazywały się bardziej wytrwałe niż ona i siedziały na rozchwianym stołeczku przy biurku.

Taka była matka Ostapa. Jednego z najbardziej zdolnych jej uczniów. Odprowadzała syna do szkoły muzycznej, czekała na niego, póki trwały zajęcia, a potem zabierała nawet wtedy, kiedy już był nastolatkiem, i Ostap wcale się nie wstydził nadmiernej matczynej opieki, a kiedy rówieśnicy z nim się drażnili, po prostu nie zwracał na to uwagi. Wcześniej czy później im się nudziło i przestawali się z nim droczyć. Był niezdarnym, niewysokim i zdecydowanie niewysportowanym chłopcem, od dzieciństwa nosił okulary i stale trzymał głowę trochę pochyloną do przodu, naprężając szyję, jakby mimo okularów nie dowierzał swoim krótkowzrocznym oczom. Jego matka miała również taki nawyk i przez to, kiedy oboje ostrożnymi drobnymi kroczkami szli ulicą, z daleka byli podobni do dwóch gigantycznych żółwi. Chrystyna nigdy nie widziała ojca Ostapa - być może syn z matką mieszkali we dwoje. Jego matka pracowała jako dyrektorka biblioteki młodzieżowej, położonej niedaleko szkoły muzycznej. Był w niej niezły dział literatury muzycznej i Chrystyna czasami tam zachodziła. Matka Ostapa kierowała kilkoma kobietkami, których wiek zatrzymał się na nieokreślonym oznaczeniu „średni” i teraz już niemożliwe było powiedzenie o nim czegoś więcej. Te kobietki codziennie wprawiały się w tym, żeby jeszcze bardziej zapobiegliwie wykonywać polecenia swojej szefowej i spełniać pragnienia czytelników, być jeszcze bardziej niezauważalnymi i niesłyszalnymi i osiągały w tym coraz bardziej znaczące efekty, zdawało się, że nie mają odwagi się starzeć, dopóki nie ma specjalnego rozporządzenia. Siedziały każda na swoim krześle i dziergały jakieś niekończące się zielono-szare swetry, marzycielsko uśmiechając się znad drutów. Część z tych swetrów stawała się prezentami dla Ostapa, i on posłusznie nakładał je nawet do szkoły, już w wejściowych drzwiach kuląc się i zginając jak pod niewidzialnymi uderzeniami. Dzieci każdy nowy sweter jakimś cudem odróżniały od poprzedniego, chociaż

Chrystynie zawsze się zdawało, że to od lat jeden i ten sam niezmienny, który rośnie wraz z chłopcem, takie one były jednakowe. I kiedy sweter się zmieniał, dzieci witały Ostapa kpinami, ale szybko traciły zainteresowanie i przestawały się nad nim znęcać. Był zbyt łatwą ofiarą, po prostu milczał, cokolwiek robiły czy mówiły, a to pozbawiało całą rzecz sensu i nie przynosiło napastnikom żadnej satysfakcji.

Cały czas, dopóki Ostap grał, jego matka przesiadywała na krześle Chrystyny, ani razu nawet nie spytawszy o pozwolenie. On grał, jego matka pilnie wpatrywała się w stulone ramiona syna, i między nimi napinała się jakaś niewidzialna struna. Wyczuwalna niemal fizycznie, a jeśli Chrystyna w takiej chwili przechodziła za plecami chłopca, przecinając trajektorię tej struny, Ostap prawie zawsze wzdrygał się i grał fałszywą nutę. Na szkolnych koncertach, jeśli matki nie wpuszczono na salę, wykonywał okropnie nawet te utwory, które chwilę wcześniej, w gabinecie Chrystyny, brzmiały po prostu wspaniale. Ostap nigdy nie wziął udziału w konkursach muzycznych, kiedy szkoła delegowała tych, którzy najpiękniej wykonywali te szkolne koncerty, bo chociaż Chrystyna nawet usiłowała wystarać się dla matki Ostapa o specjalne pozwolenie na obecność podczas tych koncertów, dyrekcja jednak jej zawsze odmawiała.

Uczniowskie koncerty w szkole czemuś były zamknięte. To znaczy, kiedy na nich nie pojawiał się dyrektor i jego zastępczyni, Chrystyna i Sołomija potajemnie wpuszczali rodziców przestraszonych pierwszaków do sali, żeby mogli wygodnie usiąść i popatrzeć na występ własnego dziecka, ale coś takiego zdarzało się rzadko. Przeważnie dyrektor i jego zastępczyni Adelajda Hryhoriwna na koncerty szkolne jednak przychodzili.

Adelajda Hryhoriwna przypominała wielką przekar-mioną jaszczurkę. Jej kapryśne ciało powoli i na swój sposób nawet sprężysto przelewało się pod fałdami obszernych

szat, które zazwyczaj nosiła. Kiedy Adelajda Hryhoriwna się ruszała, trudno było pojąć, które części jej ciała startują pierwsze. A które – po nich. Zdawało się, że raptownie rusza z miejsca i pokonuje pewną odległość, potem na chwilę zamiera, jakby akumulując zapas energii, niezbędnej, aby ruszyć z miejsca solidną masę jej ciała. I znowu zdecydowanie i pewnie pokonuje odległość, pomiędzy tymi zrywami pewne części jej ciała ruszały się nadal – jedne nie zdążyły się jeszcze zatrzymać, inne już szykowały się do następnego zrywu. Obserwowanie jej ruchu było tak samo ciekawe jak śledzenie kołyszących się fal i choć nietrudno było odróżnić poprzedni krok Adelajdy od następnego, tak samo jak jedną falę od drugiej, to jednak pozostawało wrażenie monolityczności i całościowości. Zdawało się, że ten ruch nigdy się nie zatrzymuje, jak ruch morskiej wody, po prostu czasami trochę się uspokaja, a potem znowu robi się intensywniejszy.

Na twarzy Adelajda Hryhoriwna miała wielką czerwoną plamę – egzemę, pieprzyk czy oparzenie – nie wiadomo. Ta plama ciągnęła się od prawego ucha przez cały policzek aż do ust, przecinając je na pół. I jeśli przy spojrzeniu na masywną kołyszącą się bryłę jej ciała od tyłu można było sobie jeszcze pomyśleć, że jest sens się z nią spierać, nie zgadzać się, sprzeczać, to po tym, jak obróciła się przodem i spojrzenie współroz mówcy niechący skupiło się na bliższej połowie jej ust, przedzielonych na pół konturem plamy niby granicą, jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości niezgodzenia się w czymkolwiek z Adelajdą Hryhoriwną zniknęły raz na zawsze.

Przychodzili przeważnie razem – Adelajda Hryhoriwna i dyrektor, którego była zastępczynią. Dyrektor sięgał jej mniej więcej do pasa, był chudziutki i łysawy, na ramionach jego wyblakłego garnituru w brunatne paski zawsze leżał łupież, a okulary zawsze czemuś miały rysę na prawym szkłe. Od czasu do czasu rysa się przemieszczała – co oznaczało, że

dyrektor zmienił szkło, oprawkę czy całe okulary, usiłując się jej pozbyć, ale to mu się nie udawało i rysa pojawiała się znowu.

W milczeniu wchodzili do sali ćwiczeń, tak samo w milczeniu patrzyli na nauczycielkę, która pozwoliła sobie wpuścić rodziców na szkolny koncert, nauczycielka w milczeniu rozkładała ręce i rodzice posępnym rządkiem powracali na korytarz. Tam ustawiali się przy ścianie i przez głowy jeden drugiemu zaglądali przez szeroko otwarte drzwi.

Ten rytuał miał w sobie jakąś przypisaną także pozostałym muzycznym rytuałom wewnętrzną logikę. Aby poczuć swą przynależność do wybranych, koniecznie trzeba było pokonać pewne inicjacyjne procedury – wielogodzinne ćwiczenia, niedosiężny scholastyczny solfeż, niemożliwość dwukrotnego odtworzenia udanie zagranego taktu, walkę z rytmem. Tak samo niezbędne było zademonstrowanie swojej przynależności do wybranych ogółowi – w tym przypadku rodzicom: i niezręczność miejsca, i pozycji, z której pozwolono im obserwować koncert, miała naocznie na to wskazywać.

Coś podobnego dzieje się między urzędnikiem i petentem w tych urzędach, gdzie przychodzący nie jest klientem, ale tylko petentem albo tym, kto zobowiązany jest przejść pewną procedurę – powiedzmy zapłacić za usługi mieszkaniowo-komunalne w specjalnym okienku w ADM-ie. To okienko nigdy nie będzie umieszczone na wygodnej dla płatnika wysokości, ale zawsze gdzieś w rejonie jego pępka, tak że płatnik nie zdoła zobaczyć kasjerki, jeśli nie zegnije się w niskim pokłonie. I właśnie ta odległość, przegródka, niezręczna pozycja, pokłon albo wyciągnięta szyja są tymi wymownymi i jednoznacznymi symbolami władzy, które niwelują i przekreślają wszystkie społeczne, oświatowe czy jakiegokolwiek inne odmienności. Chrystynie zawsze się wydawało, że rodzice zaglądający z daleka jeden przez głowę

drugiego niczego nie widzą oprócz bordowo brunatnej plamy na policzku Adelajdy Hryhoriwnej, kształtem przypominającej nadgryziony z wewnętrznej strony rogalik obwodu odeskiego.

Schody były marmurowe, wytarte, z powyłamywaną gdzieś niedzie balustradą. Marmurowe schody były bynajmniej nie we wszystkich austriackich budynkach, większości przychodziło się zadowolić drewnianymi, ale oprócz tych schodów szkoła muzyczna niewiele zachowała z dawnej wspinałości budynku. Wystarczyło otworzyć pierwsze lepsze drzwi i od razu rzucały się w oczy pomalowane olejną farbą panele, obite dermą drzwi i ławki, niezmiennie trzykrotki w koszykach, makramy i spłowiałe plakaty z zasadami ВНР. Ślady różnych epok mieszały się w tych ścianach i szczelnie zostały pokryte rudoszarym nalotem radzieckości, przez powierzchnię którego tylko gdzieś przebijały detale barwniejszych okresów, jak choćby te schody.

W dzieciństwie, kiedy wspinała się tymi schodami do ojca, który pracował w gabinecie, w którym teraz jest recepcja, rys na marmurze było jeszcze mniej i Chrystyna mogła za-trzymać się przy którymś z bardziej ulotnych wizerunków, aby, wpatrując się w sploty na nim, zagłębić się w jakiś swój wewnętrzny labirynt, który składał się z obrazków i wizji, na pół realnych, na pół pierwotnych, na pół niedowidzia-nych i na pół niedowymyślonych. I jeśli skupić się na tym potoku i dostatecznie długo i uważnie wpatrywać w odcie-nie marmuru na ścianie przed sobą, można odczuć, jak po plecach z dołu do góry pełzną mrówki i świat dookoła znika, przestaje się czuć ciężar tornistra i torby z kaptami, nie-postrzeżenie znika czas w wąziutkim czarnym zagłębieniu pomiędzy dwoma odcieniami szarości na marmurowej ścia-nie i oto już zaniepokojony ojciec schodzi w dół i przerywa

doświadczenie pierwszych w życiu medytacji. Trzeba się spieszyć zjeść kanapkę, wypić herbatę i nie spóźnić się na solfeż, a potem na drugi instrument – wiolonczelę.

Na wiolonczelę Chrystyna chodziła do współpracownicy ojca Teodozji Borysiwny. Ojciec uważał ją za dobrego pedagoga, chociaż naprawdę była po prostu pociągającą kobietą, dobrą i niezbyt wymagającą. Teodozja Borysiwna miała gęste i długie rude włosy w tym intensywnie miedzianym odcieniu, którego nie udaje się osiągnąć przy pomocy żadnych farb, matowo zielone oczy i wspaniały biust. Już tego wszystkiego całkiem by wystarczyło, ale Teodozja Borysiwna miała jeszcze spojrzenie, od którego mogło wykipieć mleko. To spojrzenie było spokojne, pasywne, nawet bezwolne, a przy tym tak głęboko przenikało gdzieś pod żebra, że zaczynało tam palić. Mężczyźni, na których się skierowało, mieli chęć ruszyć we wszystkich kierunkach jednocześnie, mieli chęć rzucić się na Teodozję Borysiwnę z objęciami, ale niemniej silne było pragnienie, by uciekać od niej gdzieś na bezpieczną odległość, obronić się, pozbyć się tych gorących mrówek, które wpełzały im z jakichś tajemnych korytarzy na plecy, wyrwać się z rozpalonej powolności tego magnetycznego spojrzenia.

Być może podobne uczucia ogarniały w obecności Teodozji Borysiwny także ojca i zdaje się, że to, że przez wiele lat była ona jego uczennicą, wcale ich nie osłabiło. Ale ponieważ z przeciwstawnych pragnień dominowało w nim to ostatnie, nadzwyczaj rzadko odważał się choćby prosto spojrzeć w jej oczy podczas rozmowy o sukcesach Chrystyny czy popatrzeć w ślad za nią, kiedy oszałamiający aromat jej włosów, którego nie potrafiły zabić ani szampony, ani perfumy, oddalał się razem z jej długą czarną spódnicą. Być może bał się, że jeśli choć raz podniesie oczy na Teodozję Borysiwnę, już nie zdoła się oderwać i zastygnie przed nią, jak Chrystyna zastygała na schodach, oglądając wewnętrzne krajobrazy, ukryte